

egzemplarz bezpłatny

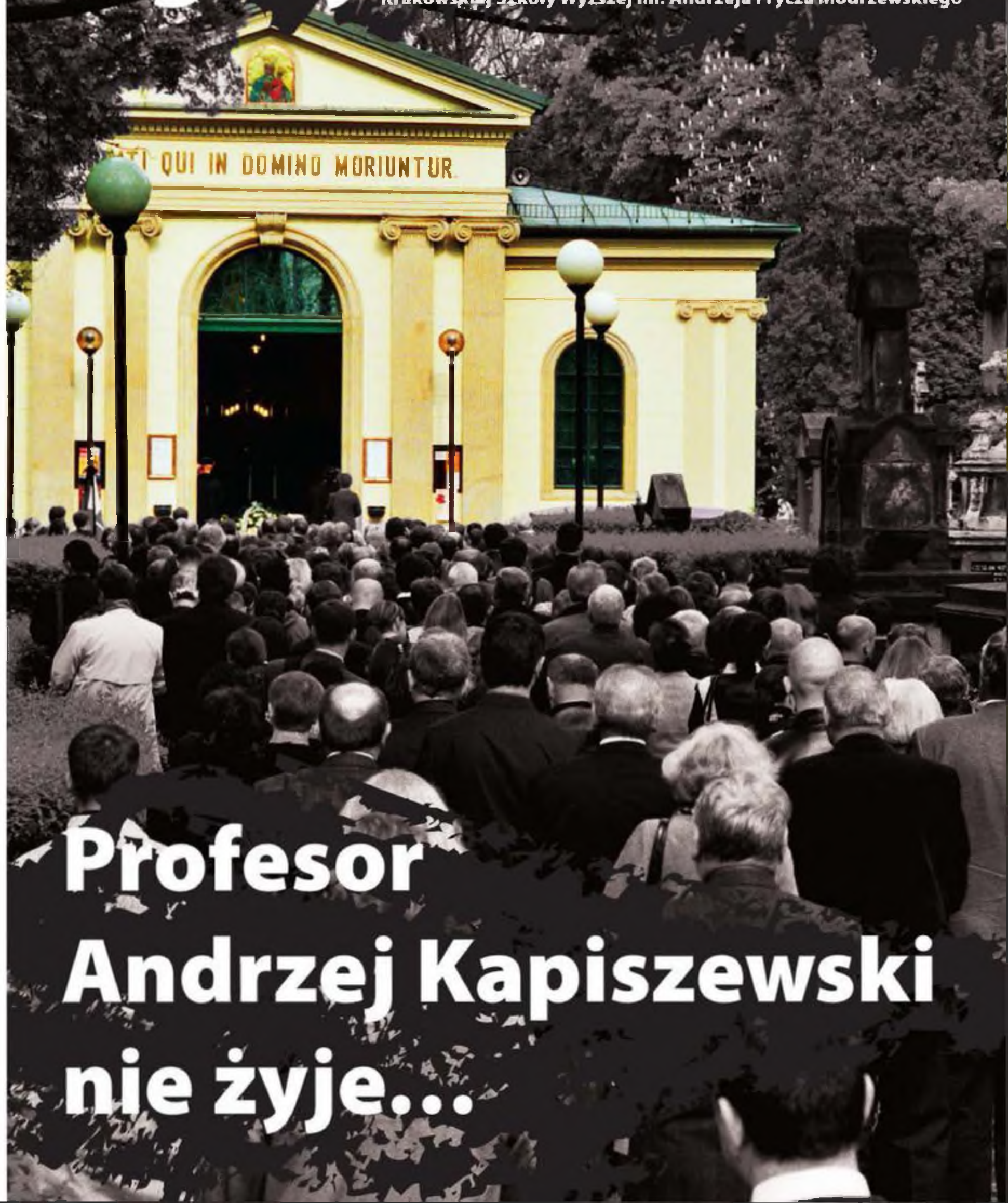
ISSN 1732-6494 nr 22, czerwiec 2007



mixer

magazyn studentów

Krakowskiej Szkoły Wyższej im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego



**Profesor
Andrzej Kapiszewski
nie żyje...**



miXer

magazyn studentów

Krakowskiej Szkoły Wyższej im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego

Nr 22 czerwiec 2007



3 Apéritif

PoWaGa

Politycznie Ważne Gadanie

- 4 *Są politycy umalowani, wykreowani przez media...*
– mówi reżyser teatralny Jerzy Zoń
- 7 Ucieczka przed zakazem, sumieniem i życiem

StuDnia

Studencki Drogowskaz Intelktualny

- 8 Tam wiele rzeczy wydaje się łatwiejszych...
- 9 Radio „Frycz” na warsztatach za granicą
- 10 *Najgorsze są nerwy przed startem...*
– mówi Anna Kaczmarczyk, pilot, kierowca rajdowy,
studentka KSW

Temat z okładki

- 12 Odszedł wielki wizjoner, współtwórca KSW,
rzecznik współpracy szkół wyższych Krakowa

Kraków od spodu

- 16 Wiele atrakcji
- 17 *Warto poznać kulturę, tradycje i młodych ludzi
z innych krajów* – rozmowa z Joanną Stawiarz,
studentką KSW
- 18 Żał by było nie skorzystać z okazji...
czyli „Noc Muzeów” w Krakowie

FeLieTon

Fobia Ludzi Trudnych

- 19 Dramat, czyli poezja z importu
- 20 Życie po japońsku – mentalność „*amae*”

redaktor naczelny Bartłomiej Misiniec

zastępca redaktora naczelnego Grzegorz Makuch

redakcja Iga Bałos
Arkadiusz Drygaś
Joanna Mysińska
Agnieszka Prostań
Anna Pycińska
Roksana Rumińska
Karolina Świerad
Katarzyna Skorupa
Szymon Wróbel
Kinga Zielińska

zdjęcia Michał Pawłowski

dtp i okładka Mateusz Janusz (hussars.pl)

adres do korespondencji mixer@kte.pl

druk Drukarnia Leyko
tel. 012 656 44 87

nakład 2000 egzemplarzy

opieka redaktorska Maciej Malinowski
(Wydział Politologii
i Komunikacji Społecznej)

Redakcja zastrzega sobie prawo do redagowania tekstów oraz zmiany tytułów. Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych



Bartłomiej Misiniec redaktor naczelny

Apéritif

Ostatni w tym roku akademickim „Mixer” jest numerem pożegnalnym, który pragniemy poświęcić śp. Profesorowi Andrzejowi Kapiszewskiemu, współtwórcy i pierwszemu rektorowi Krakowskiej Szkoły Wyższej.

Brać studencka „Frycza” wraz z gronem profesorskim pożegnała wybitnego uczonego na cmentarzu Rakowickim w Krakowie. Zdjęcia z uroczystości pogrzebowej można obejrzeć na str. 12-15. Przedstawiamy też wspomnienie o prof. dr. hab. Andrzeju Kapiszewskim autorstwa rektora KSW, prof. Jerzego Malca.

Od poprzedniego numeru „Mixera” sporo się wydarzyło... W dniach 24-25 kwietnia KSW zorganizowała „Dni Kultury Węgierskiej”, podczas których studenci i zaproszeni goście mieli okazję bliższego zapoznania się z kulturą kraju sąsiadów z Południa. Na str. 16-17 znajdziecie sprawozdanie i wywiad z Joanną Stawiarz, studentką naszej uczelni, która była opiekunką grupy węgierskiej podczas „Dni”.

Już po raz czwarty w Krakowie, tym razem 18 maja, odbyła się „Noc Muzeów”, która stanowi świetną okazję do taniego obcowania z kulturą. Z kolei w Sankt Pölten (Austria) zorganizowano konferencję połączoną z warsztatami na temat działania międzynarodowych rozgłośni studenckich, gdzie Studenckie Radio „Frycz” reprezentowały dwie nasze dziennikarki (więcej na str. 9).

Jak zwykle są też wywiady. O teatralizacji życia politycznego Grzesiek Makuch rozmawiał z reżyserem i dyrektorem krakowskiego teatru „KTO”, Jerzym Zoniem. Asia Mysińska natomiast z Anią Kaczmarczyk, studentką KSW i jednocześnie... pilotem rajdowym. ■

PoWaGa

A black and white close-up portrait of a man with a mustache, wearing a headband with a dark band and a light-colored patterned cloth. He is looking slightly upwards and to the right. The background is dark and out of focus.

Są politycy umalowani, wykreowani przez media...

Z reżyserem teatralnym Jerzym Zoniem* rozmawia Grzegorz Makuch

– Zagadka. Przeczytam panu słowa pewnego człowieka, a pan spróbuje zgadnąć, kto to powiedział.

– Dobrze.

– „Zastanawiałem się, jak wyrzucić z siebie cały balast rządu, cały stres i ogromne napięcie [...]. Jak urodzić coś nowego, zupełnie innego? Co zrobić, by nie wpadać w rutynę i dać powiew świeżości. Wybór sportowej walki okazał się trafiony. Walczenie rękoma i nogami, a właściwie całym ciałem z morzem, z falami dawały świetny rezultat. Jak dobrze pływać delfinem, można bić, walić, nie robiąc nikomu krzywdy. Czulem, jak zostawiam w wodzie „coś”, co mi nie jest już potrzebne. Później katamaran i ekscytująca wywrotka. Dalej motorówka, skuter wodny, kajak na ponadmetrowej fali... to jest to, „co mi się lubią najbardziej”. Jeszcze tylko gdzieś jakaś dyskoteka /I'm 47. Can I dance? Yes, I can, I need, I love/ i mogę wracać [...] do pracy. Tak jak w SPATiF-ie dawno się nie wybawilem. Bardzo krótka, ale jednak kapitalna dawka wolności /z zachowaniem zasad oczywiście – ciemniaki/. Sporo ładnych i świetnie tańczących dziewczyn. To zawsze cieszy. Pewnie znów tu wrócę. Trudno nie wracać do Trójmiasta, do przyjaciół”.

– Nie mam pojęcia... Skąd Pan to wziął?

– Z bloga. Są to słowa Kazimierza Marcinkiewicza. Czytając to, zastanawiałem się, czy mówi to jeszcze polityk, czy już aktor...

– Nie... to nie są słowa polityka, to słowa aktora, słowa gościa, który świetnie się medialnie zachowuje. Ale generalnie jestem nim rozzarowany...

– Dlaczego?

– Jestem nim rozzarowany w tym sensie, że... nie mamy dobrej klasy politycznej i on do tej grupy, niestety, też nie należy. Nie mam nic przeciwko nauczycielom fizyki, ale to jeszcze nie jest wymiar człowieka, który powinien zostać premierem tego państwa. Widocznie my, Polacy, jesteśmy takimi kundlami, że tacy premierzy nam wystarczają. Zresztą teraz są gorsi, np. wicepremierzy. To już po prostu horror, cały świat śmieje się z nas w kulak.

– Jako dyrektor teatru i reżyser wielu sztuk, czy nie odnosi pan wrażenia, że polityka – nie tylko w Polsce – w dużym stopniu się teatralizuje?

– Tak, poprzez media, głównie elektroniczne. Mamy intensywny czas mass mediów, skróconych informacji. Sposób komunikowania się trochę się zmienia, ludzie są niedokładni, powierzchowni. Ale to się zawsze tak działo, tylko że kiedyś nie było tak szybkiego przesyłu informacji. Owa powierzchowność i to, że ludzie nie sięgają głęboko do istoty, istniała, jednak myśmy o tym nie wiedzieli. Dziś blisko 95 procent Polaków prawie nic nie czyta albo jak czyta, to nie rozumie tekstu, albo im się wydaje, że rozumie. Dlatego świat robi się płaski, nie jest już trójwymiarowy, tylko albo czarny, albo biały, albo szybki, albo wolny. Rzadko się zdarza, żebyśmy mieli czas na refleksję, że są inne odcienie owych kolorów, nie mówiąc już o głębokości. Cały czas powtarzam sobie, a młodym ludziom w szczególności, że nie ma się gdzie spieszyć. Nikt nie przyspieszy biologii czy natury. Cały ów pośpiech to ułuda. Marzymy o lśniących samochodach, więc harujemy na śmierć i życie, a one po czterech-pięciu latach stają się niewiele warte. Jak pan chce wymienić śrubkę, to musi pan kupić cały moduł. Wszystko to jest mirażem stworzonym przez media i sprytnych ekonomistów.

– Myśli Pan, że owo przyspieszenie życia było powodem teatralizacji polityki?

– Tak, ale to wzięło swój początek na Zachodzie. Tam też nie ma osób publicznych wielkiego formatu, też w polityce usadowili się cwaniacy...

– Patrząc na politykę, czy widzi pan pewne teatralne elementy, choćby mównicę szytą na miarę dla braci Kaczyńskich?

– Tak, oczywiście! Ale co będziemy mówić o takich przypadkach. Pamięta pan robota w waciaku...

– ...Leppera?

– ... tak. Został wykreowany przez media. Jednak trzeba też przyznać, że ów chłopina nauczył się trochę mówić. Wprawdzie wciąż niewiele rozumie z otaczającego świata, z istoty życia w ogóle, ale funkcjonuje na arenie politycznej od lat i ma się dobrze.

– Jeśli miałby pan wyznaczyć podstawowe elementy aktorstwa politycznego, to co by pan wymienił?

– Trzy rzeczy. Musi pan mówić swoim wyborcom to, co chcą usłyszeć, poza tym ładnie wyglądać i ładnie mówić – nic więcej. Jak się owe trzy rzeczy opanuje, to sukces murowany. Aha. I ten ktoś musi być jeszcze dobrze ubrany, co nie znaczy, że powinien nosić złoto...

– Jak poseł Misztal...

– Niestety, nasi chłopcy źle się ubierają, noszą złe obuwie, często zakurzone, co w telewizji widać jak na dłoni. Politycy nie potrafią też dobrać krawata czy koszuli do garnituru. Ja bym takiego politycznego aktora stworzył inaczej: żeby był swobodny, żeby prowadził dowcipne rozmowy itp.

– Kiedy patrzy pan na gesty polityków, mimikę choćby takiego Jana Marii Rokity, to co pan widzi?

– Wie pan, on nie jest dla mnie przekonujący, choć to człowiek niezwykle inteligentny. Ale popatrzmy, co wykreował. Gdziekolwiek jest, wszystko rozbija. Ma coś takiego dziwnego w charakterze. A polityk powinien łączyć. Podkreślał to papież, że w łączeniu, nawet przeciwności, jest siła, a nie w niszczeniu. Rokita generalnie wie, co mówi, raczej nas nie okłamuje, lecz jakieś chore ego z niego wyłazi. A te kapelusze... on to źle wymyślił. Nie pasują mu te kapelusze. W naszej kulturze powojennej nie ma raczej miejsca na takie nakrycie głowy. Kto dziś chodzi w kapeluszu? Jak ktoś w nim chodzi, to się za nim oglądamy. Ja mam trzy kapelusze panamskie, w których chodzę w lecie, i ludzie się za mną oglądają. W Polsce była kultura noszenia kapeluszy, ale przed wojną. Zresztą na Zachodzie też coraz rzadziej ludzie chodzą w kapeluszach.

– Co ciekawe, na Zachodzie kapelusze noszą zwykle politycy będący przy władzy, gdyż owo nakrycie głowy jest symbolem zachowawczości. Tymczasem w Polsce kapelusze zakłada na głowę opozycja, a rządzący lubują się w... kaszkietach!

– Poza tym trzeba wiedzieć, jakie mają być te kapelusze, należy się na nich po prostu znać. Rokita nosi kapelusze kupione w zwykłych sklepach

za stowę. Gdyby wiedział, co to jest prawdziwy kapelusz, do jakiego stroju się jaki wkłada, toby był gość. Zauważyłem, że on ma chyba tylko jeden kapelusz...

- No dobrze. A aktor teatralny co i jak ma mówić, żeby trafiło to do widza?

- Tu jest inaczej, bo teatr to jedna wielka fikcja, świat sztucznie stworzony. Sztuka nie znosi prawdy, prawdy naturalnej. Była cała fala o brutalizmie, minęło, były problemy blokowskie, minęły. Teraz będzie o zboczeniach. To obrzydliwe, bo w tym nie ma żadnej tajemnicy, poezji. Teatr taki jak w gazecie jest nieciekawym, to teatr krótkotrwały. Mogą być świetne przedstawienia, ale przemijają za pół roku. Nikt nie mówi o zwykłych problemach w języku Szekspira. W samym Szekspirze mamy te same problemy, tylko powiedziane genialną angielszczyzną. Dlatego też aktor, jeśli ma talent, to przyciąga widza. Nie musi mu schlebiać.

- Skoro teatr ma tworzyć pewną uludę, jak gdyby rzeczywistość nierzeczywistą, to nie ma rozdziewku między teatrem a polityką. Przecież polityk też nie musi być realny...

- Tak, wystarczy, że go stworzono. Owym ideałem stworzonego polityka okazał się Lepper, może trochę Giertych, bo ten drugi zawsze był takim ociężałym prawicowcem z klapami na oczach. Teraz jest radykalny, ale w miarę upływu czasu stanie się łagodniejszy itd. Lepper z kolei to przykład stworzenia człowieka od zera, od gumiaków, roztrząsania gnoju, blokad po męża stanu.

- Mówiąc krótko - zdolny populistą!

- Tak, wyjątkowy populistą. Nie jest przygłupem. A ja mówię o rzeczach: z chłopą król...

- Czyli polityka zaczęła bazować na tym, co teatr... na tworzeniu pewnej fikcji.

- Nie do końca. Ja nie wiem, w jakim kierunku się to rozwinię. Jedno jest niepokojące: że zawsze istniały jakieś reguły. Polityka się trochę ucywilizowała, nie zarzynają się już nożami, nie ma *Et tu, Brute, contra me*, nie ma czegoś takiego. Ale stopień pląstania, cygaństwa i okłamywania zwiększył się po stokroć.

Dawniej umiejętnie manipulowano, dało się ocyganie kilka milionów ludzi, zresztą wystarczyło to zrobić tylko z elitą. Dziś należy ocyganie 40 mln ludzi, czyli mówić im, że teczki, że trzeba otwierać, że trzeba lustrować, że ten był świnią, a ten nie był... To jakaś ogromna choroba, która draży naród.

- Polityk sprzedaje wyborcy pewną uludę?

- Tak. Jeśli przyjeżdża znikąd Tymiański i wygrywa z Wałęsą...

- ...oraz zakłada Partię XI

- Można powiedzieć, że to była młoda demokracja, ale teraz zobaczymy, jak bliźniacy wytropią wszystkie układy. Nie mówię, że ich nie ma, bo są, jednak to nie może być podstawowym działaniem tego rządu.

- Wymienione przez pana układy to kolejny przykład teatru w polityce. Są to bowiem słowa mocno oddziaływające na wyobraźnię. Do tego garnitur, teczka, długopis i aktor gotowy wydaje się do występu...

- Tak, jest coś takiego w polityce. Udawanie. Chcecie to usłyszeć, to słyszyście, my mówimy teksty, które wy chcecie słyszeć.

- Czy są to jeszcze politycy, czy już aktorzy?

- To politycy umalowani, wykreowani przez media. Ogląda pan „Panoramę” i widzi kilku jegomości, potem te same gęby zasuwały do TVN 24, następnie na śniadanie na trawie, śniadanie bez krawata, jedno radio, drugie radio itd. I tak przez wszystkie media przewijają się z dziesięć tych samych osób. Nie, to są aktorzy...

- Kiedy pan tak obserwuje scenę polityczną Polski, to którego polityka uznałby pan za najzdolniejszego aktora?

[Chwila zastanowienia]: - Kwaśniewskiego. Kompletnie co innego myśli, a co innego mówi. To człowiek, który kłamie bez zmrużenia okiem. Nie zaważa ani sekundy. Całe życie na kłamstwie... kłamstwo na kłamstwie. Dopiero jak się zaczyna do niego dobierać, to wyjdzie cała prawda o „wspaniałym” ekspreszydencie.

- A jeśli wziąć pod uwagę tempo nauki, to...

- ...Lepper. Bo Kwaśniewski to wychowany w komunie pieszczoszek salonów politycznych. Nauczył się owej nowomowy i teraz ją tylko sobie przekształca. A Lepper... Gdy Kwaśniewski był działaczem na szczeblu ministerialnym, to on gnój rozrzucił.

- Czy można tylko mistrzowsko recytować pewne kwestie, czy też aktor utożsamia się z tym, co mówi?

- Politycy, zwłaszcza skrajnych partii, wierzą w to, co mówią. Jeśli pan pogada z LPR-owcami, to oni wierzą, że homoseksualizm jest zły. W skrajnych partiach te postawy są tak spolaryzowane, że ich członkowie dadzą się zabić za ideę. Centrum, partie środka, patrzą w lewo, w prawo i tu jest częsta zmiana poglądów. Dziś idą w prawo, jutro w lewo.

- A jak to jest z aktorem teatralnym?

- Musi sobie to uprawdopodobnić, zagrać tak, by było to prawdziwe. Aktor teatralny wczuwa się, zna różne metody. Zależy, jaka sztuka, bo bywają różne konwencje. Musi to przez niego przejść. Ale to należy do jego zawodu. Po to się uczy aktorstwa tyle lat, żeby potem mieć wytrenowany organizm, by wkładać rozmaite teksty, wyrzucać je z siebie i... zapominać.

- Podobnie dzieje się w polityce...

- Tak. Przemyślane, bo dobrze skonstruowane, były na przykład przemówienia Hitlera. Trzeba umiejętnie panować nad tłumami. Jan Paweł II umiał to świetnie robić. Wiedział, kiedy zrobić pauzę, kiedy się uśmiechnąć. Umiejętna rozmowa z tłumem to bardzo ważna sprawa. Powinien to umieć zarówno aktor, jak i polityk.

Rozmawiał Grzegorz Makuch

* Jerzy Zoń (ur. 1953 r.), reżyser, dyrektor krakowskiego teatru „KTO” („Krakowski Teatr Osobliwości”). Do jego najsłynniejszych spektakli należą „Zapach czasu”, „Sprzedam dom, w którym nie mogę już mieszkać”, „Wieża Babel”, „Po czym poznać łyżkę stołową z bliska”, „Kantata” i „Mazepa”.

Dopóki nasi politycy będą traktować swoją rolę jako narzucanie poglądów innym, dopóty sytuacja w Polsce będzie taka jaka jest...

Ucieczka przed zakazem, sumieniem i życiem

Anna Czapiga

Tematem numer 1 ostatnich tygodni była zmiana Konstytucji RP, a dokładniej mówiąc – artykułów 30 i 38 traktujących, odpowiednio o godności i prawnej ochronie życia każdego człowieka. Liga Polskich Rodzin postanowiła zmienić drugi z owych artykułów, dopisując do niego słowa „od momentu poczęcia do naturalnej śmierci”.

Tych sześć słów wywołało prawdziwą burzę zarówno wśród parlamentarzystów, jak i zwykłych obywateli. W Sejmie zaczęły się długotrwałe kłótnie, a na ulicach demonstracje pokazujące panujący wśród społeczeństwa podział na zwolenników i przeciwników zmiany Konstytucji.

Życie poczęte dobrze chronione

Wydawało się, że życie poczęte w Polsce jest dobrze chronione, ponieważ aborcję dopuszcza się tylko w trzech przypadkach: gdy ciąża jest wynikiem gwałtu, gdy płód jest poważnie uszkodzony i gdy życie lub zdrowie matki jest zagrożone. A jednak dyskusja rozpoczęła się od nowa...

Od samego początku awantury wiadomo było, że zmiana Konstytucji przy obecnym składzie parlamentu nie wchodzi w rachubę. Zostawmy jednak na boku kwestię faktycznych intencji LPR-u i zajmijmy się meritum sprawy, a więc tym, jak kobiety i w ogóle obywatele są przez państwo traktowani.

Kiedy słucha się wypowiedzi niektórych polityków, odnosi się wrażenie, że jedynym zadaniem kobiety ma być urodzenie i wychowanie jak największej liczby dzieci. Nieważne jak, nieważne za co, ważne, żeby było dużo. Państwo nie dba o jakość życia tych dzieci, o potrzeby rozwojowe kobiet, a także o zapewnienie odpowiednich warunków dla rozwoju rynku pracy, co dałoby ludziom większe poczucie bezpieczeństwa, a co się z tym wiąże, przyrost posiadania dzieci.

Politycy chcą decydować o wszystkim

W Polsce nadal funkcjonuje przekonanie, że państwo powinno regulować każdą dziedzinę życia obywateli, a więc również tę dotyczącą sfery prywatnej, i że obywatele powinni bezwzględnie słuchać tego, co mówią politycy. Stąd też wynika problem niemożności naszych parlamentarzystów do „przepchnięcia” ustawy antyaborcyjnej. Państwo polskie nie jest państwem religijnym i choć większość Polaków to katolicy, nie można reszcie narzucać przekonań.

Wydaje się, że religia jest sprawą prywatną każdego człowieka, jeśli więc ktoś stara się w przestrzegać życia dziesięciu przykazań, nigdy nie dokona aborcji. Co więcej, dekalog powinien być jakby konstytucją dla wyznawców Chrystusa, więc katolikom nie potrzeba wpisania do ustawy zasadniczej zasady ochrony życia od momentu poczęcia. Państwo jednak wychodzi z założenia, że jeśli ono czegoś nie ureguje prawnie i tego nie

usankcjonuje, to ludzie nigdy nie będą tego respektować. Jest to jednak myślenie złe, gdyż, jak wiadomo, my, jako naród, mamy skłonności do przeciwstawiania się i łamania wszystkich zasad.

Każdy ma sumienie...

Co jednak z problemem, gdy ciąża powstała w wyniku gwałtu, zagraża zdrowiu lub życiu matki albo gdy płód został poważnie uszkodzony? Na to pytanie nie ma dobrej odpowiedzi, dlatego też decyzję o tym, co zrobić, powinno się zostawić sumieniu każdego człowieka, który może się podeprzeć zasadami religijnymi, etycznymi lub filozoficznymi. Co więcej, nie mamy prawa oceniać ludzi i ich zachowań, dlatego też choć może nam się nie podobać postawa Alicji Tysiąc, która chciała usunąć ciążę, nie możemy jej potępiać, bo nie wiemy, jak my byśmy się zachowali na jej miejscu.

Z drugiej strony nie wolno nam też krytykować matki, która zdecydowała się urodzić dziecko z poważną wadą, pozbawione rąk i nóg. Obie te decyzje są decyzjami indywidualnymi kobiet, które na pewno przez długi czas zastanawiały się, co zrobić. I państwo w tych momentach powinno je wspierać i oferować pomoc, a nie decydować, co ktoś ma robić. Właśnie na tym polega dobrze rozumiana rola państwa, lecz dopóki nasi politycy będą traktować swoją rolę jako narzucanie poglądów innym, dopóty sytuacja w Polsce będzie taka jaka jest... ■

W Ameryce od małego uczy się ludzi determinacji i rzecz jasna konkurencji, która nie zawsze jest zdrowa, ale która może dlatego przynosi później tyle pożytku

Tam wiele rzeczy wydaje się łatwiejszych...

Korespondencja z USA

Gall Anonoim

Polska i Stany Zjednoczone Ameryki Północnej... kraje tak odległe i tak różne. Czy można porównywać mentalność Amerykanów i naszą, zamożność ich i naszą, styl życia czy system edukacji ich i nasz? Wydawałoby się, że z góry stoimy na straconej pozycji. Tymczasem jest inaczej, o czym przekonałam się podczas pobytu za oceanem.

Jeśli chodzi o system edukacji, to różni się on znacznie od naszego. Jest zdecydowanie obszerniejszy, co moim zdaniem wcale nie oznacza, że lepszy. W Polsce wymaga się od uczniów czy studentów sporo, ciągle im się wmawia,

że papierków nie wystarczy i że trzeba dać z siebie dużo więcej, jeżeli chce się w życiu coś naprawdę osiągnąć. W Ameryce również tak jest, tylko że tam wydaje się to o wiele łatwiejsze.

Wybór przedmiotów w liceum, angażowanie się w sport – wszystko to wpływa na konto przyszłego stypendium studenta, które każdy ma szansę zdobyć, będąc w czymś dobrym. Ale przecież za to wszystko: trzeba płacić – może ktoś powiedzieć *Jasne, że trzeba*, dlatego tak ważne jest angażowanie się w różnego rodzaju zajęcia już w okresie licealnym, aby osiągnąć dofinansowanie. W Ameryce od małego uczy się ludzi determinacji i rzecz jasna konkurencji, która nie za-

wsze jest zdrowa, ale która może dlatego przynosi później tyle pożytku.

W czasie pierwszych trzech lat studiów zakowi amerykańskiemu wolno zmieniać kierunek tyle razy, ile tylko chce, aż do momentu magisterium. Ale trzeba być na 100 procent przekonanym, co się chce studiować. Trzy lata błędzenia, trzy lata wyboru, trzy lata poszukiwań to jednak dużo... Tak więc nie warto przesadzać. Ścisły grafik obowiązków i zdobywanie punktów każdego dnia, do tego mnóstwo pracy w bibliotece... to uczy pewnego rodzaju organizacji i pracowitości.

Jak pewnie wielu z Was wie, studenci w USA mają swoje stowarzyszenia, do których nie jest się wcale łatwo

dostać. Chłopcy mają swe „Ferternity”, a dziewczęta „Sorority”. Przykładami mogą być „Pi Kappa Alpha”, „Delta Chi Delta” czy „Chi Omega” dla dziewczyn. Każdy, kto chce być członkiem bractwa, musi przejść pewną próbę, od której zależy, czy reszta członków go zaakceptuje, czy też nie. Ale na początku trzeba zdobyć zaproszenie, po czym należy się umówić z członkiem stowarzyszenia na spotkanie. Podjęcie decyzji wiąże się z całym semestrem usługiwania innym i spełniania wszystkich prośb bractwa, co nie zawsze jest łatwe (dlatego niejedni już zrezygnowali).

Pod koniec semestru wytrwali otrzymują potwierdzenie członkostwa i od tego momentu wspólnie z innymi braćmi mieszkają we wspólnym domu, który nierzadko wygląda jak miniatura... Białego Domu.

Teraz można by zapytać, dlaczego każdy z nich tak bardzo chce być członkiem bractwa. Dla zabawy, dla towarzystwa, dla poczucia, że jest się członkiem grupy? Owszem, ale nie tylko dlatego. Otóż bractwo zapewnia pomoc w przyszłości, wpływy i znajomości, np. w zdobyciu później pracy. Każdy spośród tysięcy członków ma prawo udać się po pomoc do „brata”, a ten musi przyjść mu z pomocą.

Na koniec chciałabym wspomnieć o czymś zupełnie innym. Z racji tego, że jestem dziewczyną, napiszę o nich trochę, bo jednak się różnimy. Większość z nich jest rozpieszczona. Czymś ogromnie dziwnym było dla niektórych chłopaków to, że pomagałam im wnieść zakupy do domu czy też, że czasem chciałam za siebie sama płacić, a przynajmniej złożyć się na coś.

Dziewczyny tutaj zazwyczaj dyktują, co i jak ma być, i często są ze wszystkiego niezadowolone. Tak więc plus dla Polek.

Warto też wspomnieć o tym, że większość studentów utrzymuje się sama, zaczynając pracę w wieku 16 lat i odkładając lub inwestując pieniądze na przyszłość. Nie będę pisać o tym, jak jedzą, czy o tym, jak wyglądają ich imprezy, bo znowu tak bardzo się od nas nie różnią, a jednak mentalność czy sposób życia wydaje mi się inny (spokojniejszy), jak gdyby już byli pewni tego, co będą mieć.

Nie chcę, żeby ktokolwiek myślał, że zachłysnęłam się USA, i wszystko, co my robimy, jest dla mnie bez sensu, bo ja wcale tak nie myślę. Chciałam tylko pokazać parę przykładów, które wydały mi się interesujące i zupełnie inne niż u nas, a o których warto wiedzieć. ■

Dostałyśmy możliwość „wejścia na żywo” w studenckim radiu Campus Radio 94,4

Radio „Frycz” na warsztatach za granicą

Joanna Mysińska

W Sankt Pölten (Austria) odbyła się niedawno konferencja połączona z warsztatami na temat działania międzynarodowych rozgłośni studenckich. Wybrałyśmy się tam z Anią Pycińską jako przedstawicielki naszego nowo powstałego Studenckiego Radia „Frycz”.

Przed wyjazdem zebrałyśmy dużą ilość materiałów na temat naszej uczelni, radia, a także studia telewizyjnego i pisma „Mixer”, działających przy Krakowskiej Szkole Wyższej. Na ich podstawie stworzyłyśmy prezentację i ruszyłyśmy w trasę.

Die Vereinigung, czyli integracja

Pierwszego dnia, oprócz zameldowania w pensjonacie, zostałyśmy zaproszone z przedstawicielami innych krajów, takich jak Rosja, Niemcy i Austria, oraz ze studentami z uczelni w Lesznie na kolację, na której mieliśmy się bliżej poznać i omówić zajęcia na nadchodzące cztery dni pobytu.

Die Präsentation, czyli prezentacja, i das Essen, czyli jedzenie

Cały drugi dzień spędziłyśmy na wykładach na temat technik radiowych, a po południu przedstawiłyśmy naszą uczelnię ze szczególnym uwzględnieniem radia. Studenci innych szkół nagrodzili nas gromkimi brawami. Pod wieczór, przy piątym tego dnia posiłku, poznałyśmy władze miasta w zabytkowym ratuszu. Na szóste (!) danie, typową austriacką strawę, zostaliśmy zaproszeni do restauracji.

Wien, czyli Wiedeń

Środa minęła nam na zwiedzaniu publicznego radia i telewizji, mieszczących się w stolicy Austrii. Popołudnie spędziłyśmy, oglądając najbardziej znane zakątki Wiednia.

Der Unterricht, czyli nauka

10 maja miałyśmy okazję nauczyć się produkcji reportaży i reklam radiowych, używając profesjonalnego sprzętu. Dostałyśmy też możliwość „wejścia na żywo” w studenckim radiu Campus Ra-



dio 94,4. Wieczorem natomiast byłyśmy na koncercie z okazji 5-lecia istnienia na rynku wcześniej wspomnianego radia. Gwiazdą wieczoru był zespół „Medien-gruppe Telekommander”.

I, niestety, die Abfahrt ...

Ostatniego dnia pobytu ze smutkiem i z wielką wdzięcznością żegnałyśmy się z uczelnią i nowo poznanymi kolegami. Większość z nich już zadeklarowała chęć współpracy ze Studenckim Radiem „Frycz”. Mamy nadzieję, że owa przyszła kooperacja zaowocuje ciekawymi projektami. ■



foto. Agnieszka Kaczmarczyk

Najgorsze są nerwy przed startem...

Z Anią Kaczmarczyk, pilotem i kierowcą rajdowym, a równocześnie zapracowaną studentką KSW im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego, umówiłam się na krakowskim Kazimierzu. Przed spotkaniem zastanawiałam się, jaka jest kobieta, która wykonuje, jakby mogło się wydawać, „męski zawód”. Przekonajcie się sami ...

Joanna Mysińska: – Witaj, Aniu, bardzo miło cię poznać. Jesteś pierwszą dziewczyną – pilotem rajdowym, z którą mam okazję porozmawiać. Twoja pasja niezwykle mi imponuje. Opowiedz, od kiedy interesujesz się tym sportem?

Anna Kaczmarczyk: – Na pierwszym rajdzie, Rajdzie Polski na krakowskich Błoniach, byłam jako widz w 1997 r. Przyszedłam jedynie zobaczyć, jak to wygląda, jednak już wtedy moi koledzy robili licencje. Ja natomiast nie planowałam jeszcze występów. Dopiero trzy lata temu mój chłopak, obecnie narzeczony, Jurek Nowakowski, od niemal sześciu lat kierowca rajdowy, zapalił mnie do tego sportu. Rozpoczęło się od obserwowania rajdów „od kuchni”, ale ponieważ sama uwielbiam jeździć, to zrobiłam licencje.

J.M.: – Posiadasz dwie licencje: międzynarodową kierowcy wyścigowego i krajową pilota rajdowego...

A.K.: – Obie uzyskałam w ciągu jednego roku. Mając licencję krajową, po dokupieniu jedynie CO Driver, mogę startować w międzynarodowych zawodach jako pilot.

J.M.: – Łatwo jest zdobyć taką licencję?

A.K.: – Nie miałam z tym trudności. Rozpoczyna się od kieleckiego toru, tam też zdaje się egzamin praktyczny. Jeśli zaś chodzi o stronę merytoryczną, to uczestniczy się w wykładach i zdaje się egzamin z przepisów. Należy również przejść psychotesty, badania oraz być członkiem Automobilklubu, który się samemu wybiera.

J.M.: – Powiedz szczerze, co wolisz: prowadzić auto czy jednak pilotować?

A.K.: – Pilotować. Aby móc dobrze jeździć, trzeba mieć dużą ilość pieniędzy na treningi. Brałam udział w wyścigu górskim do mistrzostw Polski, zajęłam przedostatnie miejsce.

Jechałam samochodem pożyczonym od kolegi, silną astrą. Bardzo mi się podobało, jednak nie zmienia to faktu, że wolę być pilotem.

J.M.: – Twoim pierwszym rajdem był 6. Rajd Mazowiecki w 2006 r. Opowiedz nam więcej na temat tego startu...

A.K.: – To była śmieszna sytuacja. Miałam jechać z kolegą, który przed samym rajdem połamano na nartach nogi. W ostatniej chwili okazało się więc, że jadę z Michałem Brożkiem, kolegą z Krakowa. Był to mój pierwszy rajd, a tu taka zmiana na chwilę przed jego rozpoczęciem. Było to stresujące, tym bardziej że mimo naszych próśb o piękną pogodę jak na złość od rana padał deszcz. Ale bardzo miło to wspominam.

J.M.: – Byłam na tym rajdzie. Niestety, na inne z twoim udziałem nie dojechałam. A zaliczyłaś ich sporo: wcześniej wspomniany 6. Rajd Mazowiecki, Subaru Poland Rally 2006, 1. Rajd

Tyski 2006, 28. Rajd Krakowski 2006, 3. Rajd Magurski 2007, 7. Rajd Mazowiecki 2007, 38. Rajd Festiwalowy 2007...

A.K.: – Z każdym z tych rajdów związana jest inna, ciekawa historia. Na występie z Marcinem Kiwiakiem, wice-mistrzem Polski klasy A, mistrzem Polski z 2000 r., na Rajdzie Mazowieckim wręcz krzyczałam, żeby jechał szybciej, bo przecież szkoda felcja kit car, którą jechaliśmy, potrafi więcej niż pokazywaliśmy. Zajęliśmy wtedy 51. miejsce. Byłam jednak zadowolona, choć jak zwykle nie obyło się bez niespodzianek – już na pierwszym odcinku wypadliśmy z trasy i straciliśmy dużo czasu.

J.M.: – Występowałaś też z Pawłem Kotem i Dawidem Załuskim. Czy miałaś już okazję wystartować ze swoim narzeczonym?

A.K.: – Tak, raz startowaliśmy razem w Memoriale Janusza Kuliga i Mariana Bublewicza w Wieliczce. Jechaliśmy wtedy w BMW 318.

J.M.: – Jesteś bardzo zaangażowana w rajdy, także „od kuchni”. Wystosowałaś ostatnio list otwarty do Zarządu Głównego Polskiego Związku Motorowego na temat nieprzestrzegania regulaminu w sprawie Pucharu PZMot, walczysz też o pozwolenie na starty w Pucharze RWD...

A.K.: – Zgadza się. Niestety, tak jak mówisz, PZMot nie podpisał nam regulaminów do Pucharu RWD, a byłoby to bardzo widowiskowe. Teraz koledzy zgłaszają się w klasach RWD, ale oficjalnych regulaminów nie ma. Uczestniczyliby w tych zawodach samochody bmw o tych samych motorach. Takie zawody organizowane są chociażby w Niemczech. Nazywa się to „tanim pucharem”.

J.M.: – Co jest najtrudniejsze w pracy pilota rajdowego?

A.K.: – Najgorsze są nerwy przed startem. Ale mijają w momencie startu, w czasie jazdy już się o tym nie myśli. Należy też pamiętać, że pilot w samochodzie jest „od wszystkiego”. Kierowca tylko wsia-da do auta i ma za zadanie jechać. Cała reszta musi być już wcześniej gotowa.

J.M.: – Co sądzisz na temat wcześniejszego poznania terenu? Jest to dość delikatny temat...

A.K.: – Jestem kategorycznie przeciwna. Przed właściwym startem mamy możliwość trzech przejazdów zapoznawczych. To wystarcza, tym bardziej że zazwyczaj rajdy odbywają się na tym samym terenie, co rok wcześniej, więc ktoś, kto bierze udział po raz kolejny w tym samym rajdzie, kojarzy już trasę.

J.M.: – Rajdy to fantastyczny sport, ale niestety bardzo niebezpieczny. Jak reaguje na starty twoja rodzina?

A.K.: – Mój tata bardzo się zaangażował w ten sport, jest moim wiernym kibicem. Jeździł też wielokrotnie z moim narzeczonym na serwis, poznał ten sport od wewnątrz. Teraz stałe dopytuje się, kiedy znów wystartuję. Natomiast moja mama na początku niezwykle się stresowała. Podczas Rajdu Mazowieckiego w 2006 r. sprawdzała wyniki w Internecie. W pewnym momencie doszło do przykrego wypadku, podano jedynie, że jakaś załoga wypadła z trasy i kobieta pilot została ranna. Na szczęście Jurek, który mi wtedy kibicował na miejscu, szybko zadzwonił do domu i uspokoił mamę, że to nie nasz samochód uległ wypadkowi. Dziś martwi się, gdy startuję, ale już nie tak jak dawniej.

J.M.: – Plany na najbliższy czas?

A.K.: – Rajd Subaru w klasie historycznej HR. Planujemy wspólny występ z Jurkiem naszym BMW.

J.M.: – Ciekawa jestem, jakie jest twoje rajdowe marzenie?

A.K.: – Starty w mistrzostwach Polski, a w tym, oczywiście, udział w Rajdzie Polskim. Jest on trudny technicznie, ale też zajmuje więcej niż jeden dzień. Ciekawie byłoby też wystąpić za granicą, na przykład na Słowacji. Tam rajdy odbywają się w ciągu trzech dni: pierwszego dnia jest prolog, potem już zawody. A wracając do mistrzostw Polski – trzeba mieć niesamowicie duży budżet na start, sięga on czasami nawet 200 tys. zł na jeden rajd. W sytuacji gdy ma się, tak jak my, przeznaczone 4000 zł, to trzeba umieć tymi pieniędzmi gospodarować – muszą wystarczyć na wpisowe na rajd, paliwo, części do samochodu, opony. Musieliśmy sobie sami kupić kombinezony, a to już wydatek minimum 1200 zł. Moim marzeniem jest kask, który kosztuje 4000 zł.

J.M.: – Macie obecnie trzech sponsorów: „Polską Giełdę”, „Magillo” i „Opony Serwis Point S”. Jak wygląda ich pozyskiwanie?

A.K.: – Walczymy o nich cały czas. Z „Polską Giełdą” współpracujemy od dwóch lat, mamy od nich, oprócz pieniędzy, namioty, gadżety, oprawę medialną. Na łamach ich gazety znajdują się relacje z naszych startów. Dwa rajdy również sponsorowała firma, w której obecnie pracuję. Problem ze sponsorami polega na tym, że łatwiej ich pozyskać, gdy jest się osobą medialną i posiada się dużo pieniędzy. Ciekawe jest też to, że po sponsorze rozpoznaje się załogę.

J.M.: – Guru wśród pilotów? Kierowca, z którym chciałabyś wystartować?

A.K.: – Wśród pilotów szanuję Jarka Barana i Macieja Szczepaniaka. Natomiast ciekawy byłby start z takimi sławami jak Leszek Kuzaj, Tomasz Kuchar lub Mariusz Stec.

J.M.: – Studiujesz na naszej uczelni pedagogikę resocjalizacyjną. Jesteś obecnie na II roku studiów zaocznych. Dlaczego akurat pedagogika i czy planujesz swą przyszłość w tym zawodzie?

A.K.: – Tak. Wszyscy mówią, że wiele cech odziedziczyłam po tacie, a on pracował w policji kryminalnej. Dlatego też chciałabym się zajmować dziećmi z problemami w zakładzie poprawczym, domu resocjalizacyjnym lub jako kurator sądowy. Obserwuję dziś młodzież, dużo osób jest zamkniętych w sobie. Takie nadeszły czasy. Ja chciałabym im pomagać. Ponadto zajęcia na uczelni bardzo mi się podobają. Staram się, mimo startów, nigdy ich nie opuszczać.

J.M.: – Znam wiele osób, które interesują się rajdami. Co możesz doradzić tym, którzy zaczynają karierę w tym sporcie?

A.K.: – Najważniejsze jest doświadczenie. Proponuję jeszcze „uodpornić się” na organizatorów rajdów oraz walczyć o sponsorów.

J.M.: – Życzę ci kolejnych sukcesów. Do zobaczenia na najbliższym rajdzie!
Rozmawiała
Joanna Mysińska

Temat z okładki

Wspomnienie o prof. dr. hab. Andrzeju Kapiszewskim

Odszedł wielki wizjoner, współtwórca KSW, rzecznik współpracy szkół wyższych Krakowa

prof. Jerzy Malec
rektor KSW

Prof. Andrzej Kapiszewski był współtwórcą i pierwszym rektorem Krakowskiej Szkoły Wyższej im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego, wybitnym uczonym, uznanym na świecie specjalistą od Bliskiego Wschodu, świetnym wykładowcą, organizatorem życia naukowego, dyplomatą. Przede wszystkim jednak był człowiekiem prawym, wielkiego serca, koleżeńskim. Takim go zapamiętamy!

Profesor poświęcał naszej *Alma Mater* wiele czasu i energii. Do ostatnich chwil podejmował nowe, cenne inicjatywy, formułował pomysły. Pragnął, aby KSW rozwijała się we właściwym kierunku, aby stała się jej pozycja. I to w dużej mierze właśnie dzięki Niemu został osiągnięty w krótkim czasie znaczący sukces. Opracowywał przez cały czas koncepcje uruchamiania w uczelni nowych, interesujących kierunków i specjalności, był pomysłodawcą i współtwórcą programu kulturalnego, artystycznego i turystycznego, m.in. galerii sztuki i Kolegium Europejskiego.

Był człowiekiem pełnym autentycznego zapału. Gdy podejmował się czegoś, dla nikogo nie ulegało wątpliwości, że doprowadzi to do końca i że najczęściej będzie to spektakularny sukces.

Poza wykładami i seminariami w Krakowskiej Szkole Wyższej, które cieszyły się ogromnym zainteresowaniem, Profesor wychodził z licznymi inicjatywami naukowymi. M.in. w Jego rękach spoczywały sprawy działalności wydawniczej, którą rozwinął w krótkim czasie w sposób niebywały. Zorganizował i redagował „Krakowskie Studia Między-

narodowe”, współredagował czasopismo „Państwo i Społeczeństwo”

KSW stała się dla Niego czymś niesłychanie ważnym. Marzył o stworzeniu uczelni ważnej dla krakowskiego środowiska naukowego, uznanej i cenionej, i w dużym stopniu udało mu się to marzenie zrealizować. Był rzecznikiem współpracy szkół wyższych Krakowa – publicznych i niepublicznych, widząc w tym środek do podnoszenia poziomu edukacji i szerszego do niej dostępu.

Dla mnie Andrzej był kolegą z czasów studenckich i przyjacielem. Poznaliśmy się podczas działalności w ruchu studenckim, gdzie pełnił On funkcję przewodniczącego Rady Uczelnianej ZSP. Należeliśmy do ostatniego pokolenia działaczy Zrzeszenia Studentów Polskich, przed przekształceniem tej zasłużonej dla ruchu studenckiego organizacji w Socjalistyczny Związek Studentów Polskich.

Ponownie spotkaliśmy się po latach w KSW, jeszcze wówczas mającej siedzibę przy ul. Grabowskiego 7, gdzie w skromnym pokoju znajdował się gabinet ówczesnego pierwszego rektora uczelni Profesora Kapiszewskiego. Pamiętam naszą rozmowę, wspomnianie czasów studenckich, ale także dyskusowanie nad przyszłością szkoły. To w dużym stopniu roztaczana przez Andrzeja wizja uczelni, Jego zapał i wiara zadecydowały o tym, że na trwałe związałem swe losy zawodowe z Krakowską Szkołą Wyższą. I za to też jestem Mu wdzięczny.

Non omnis moriar. Prof. Andrzej Kapiszewski pozostanie w naszej pamięci i w naszych sercach na zawsze.

Żegnaj, Andrzeju!



Temat z okładki





fot. Michał Pawłowski

Temat z okładki



fot. Michał Pawłowski

Temat z okładki



Kraków od spodu

fot. Bartłomiej Misiniec



„Dni Kultury Węgierskiej” w Krakowskiej Szkole Wyższej

Wiele atrakcji

W dniach 24 i 25 kwietnia Krakowska Szkoła Wyższa zorganizowała „Dni Kultury Węgierskiej”, podczas których studenci i zaproszeni goście mieli okazję bliższego zapoznania się z kulturą kraju sąsiadów z Południa.

Bartłomiej Misiniec

Podczas trwania „Dni Kultury Węgierskiej” można było spróbować legendarnego tokaja, a także innych smakołyków przygotowanych przez restaurację „Buda i Pest” na Festiwal Kuchni Węgierskiej. Koneserzy fotografii obejrzeni wystawę pt. „Drewniane kościoły transylwańskie”. Każdy mógł też posłuchać tradycyjnej

muzyki węgierskiej, prezentowanej przez folklorystyczny zespół CSICSO. Oprócz tego Stowarzyszenie Międzynarodowe Triennale Grafiki zorganizowało w kampusie KSW wernisaż „Grafika węgierska”.

Wreszcie dla amatorów kina przygotowano maraton filmów węgierskich, trwający prawie 10 godzin! Wyświetlano obrazy takich reżyserów, jak Gábor Herendi, Zsombor Dyga czy Steven Lovy.

Podczas „Dni Kultury Węgierskiej” dostępne były broszury, foldery oraz węgierskie wydawnictwa turystyczne, przygotowane przez Centrum Kultury Węgierskiej w Krakowie.

Obok przedstawiamy wywiad z Asią Stawiarz, opiekunką grupy studentów z Węgier, którzy przyjechali do „Frycza” w ramach wymiany zagranicznej. ■



Warto poznać kulturę, tradycje i młodych ludzi z innych krajów...

Rozmowa z Joanną Stawiarz, studentką KSW

– Jak to się stało, że zostałam przedstawicielką naszej szkoły, a zarazem przewodniczką grupy Węgierskiej podczas „Dni Węgierskich”?

– Ta historia nie jest żadną wyjątkową. Po prostu pasjonuję się kulturą, historią i geografią Węgier i przede wszystkim pragnę tam wyjechać na studia. To hobbistyczne zainteresowanie tym krajem utorowało mi drogę. Lecz zaczynamy od początku, mianowicie od tego, że jestem na 1 roku i dopiero poznaję możliwości, jakie daje nam Krakowska Szkoła Wyższa. Pierwszym krokiem, jaki zrobiłam, było odnalezienie Działu Współpracy Międzynarodowej. Dalej wszystko potoczyło się szybko i moja pasja przełożyła się na rzeczywistość, gdzie miałam możliwość poznania fantastycznych Węgrów.

– Jaki jest cel organizowania takich „Dni”?

– Według przysłowia wiemy, że „Polak i Węgier dwa bratanki”, ale pytając zatrzymanego na korytarzu studenta, niewiele potrafi on nam o tym kraju powiedzieć, a już na pewno odpowiedź na pytanie: „Czym jest «Palinka»?” graniczy z cudem. A przecież to jeden z najbardziej znanych tradycyjnych trunków Węgier. Organizowanie zatem takich „Dni” jak „Dni Węgierskie” daje człowiekowi niezastąpioną możliwość bezpośredniego poznania kultury i choćby cząstki obyczajów danego kraju, i to z pierwszej ręki.

– Dni Węgierskie odbyły się u nas niedługo po naszym zwycięstwie nad Węgrami w walce o piłkarskie Euro 2012. Zdarzały się jakieś rozmowy na ten temat?

– Powiem szczerze, że nie było takich rozmów. Może z tego powodu, że nie warto budować różnic, a może dlatego, że goście byli mocno zaabsorbowani naszym pięknym Krakowem, Wieliczką i innymi atrakcjami, tak że nie mieli czasu na rzeczy mniej ważne.

– Czy większość Węgrów przyjechała do Krakowa po raz pierwszy?

– Owszem. Wśród 10-osobowej grupy znalazła się tylko jedna osoba, która odwiedziła już kiedyś nasze miasto, ale nawet ona podkreślała nowe piękno Krakowa, unikatowość bogactw solnych Wieliczki czy innych miejsc. Nie chcę nadużywać słowa „bardzo”, lecz słuchając reakcji i wrażeń studentów z Węgier, tak właśnie się działo. Wszyscy po prostu nie kryli zachwyty.

– Jakie były ich wrażenia po zakończeniu tych „Dni”?

– „Dni Węgierskie” stanowiły doskonałą okazję dla Polaków, żeby poznać kulturę czy edukację przyjaciół z Południa. Pokaz slajdów niezwykle zainteresował naszych studentów. Węgrzy byli zaskoczeni ich serdecznością i otwartością.

– Czy zaskoczyło cię coś podczas tej imprezy jako „przewodnika”?

– Tak. Choć wiem, że Węgry to ojczyzna tokaja, to jednak ogromnym dla mnie zaskoczeniem było to, że wszyscy znają się doskonale na winach. Kiedy zapytałam, czy każdy Węgier tak postępuje, zanim do obiadu skosztuje łyk płynu, w odpowiedzi usłyszałam, że tak, ponieważ znajomość jakości win jest niemal obowiązkiem, przekazywanym na Węgrzech z pokolenia na pokolenie.

– Czy nawiązały się jakieś polsko-węgierskiej znajomości?

– Oczywiście, że tak! W tej chwili komunikowanie się jest tak proste, że grzechem by było z tego nie skorzystać i dzięki temu utrzymać coś, co rozpoczęło się właśnie podczas takiej wymiany. W tej chwili mam kontakt e-mailowy z czterema osobami, co bardzo mnie cieszy, bo faktycznie są to ludzie, o których nigdy nie chciałabym zapomnieć.

– Uważasz, że studiowanie w Polsce i na Węgrzech bardzo się od siebie różni?

– Trochę na ten temat dyskutowaliśmy. I znów potwierdził się ogólnie znany pogląd, że egzaminy na polskich uczelniach są niezwykle trudne. Na Węgrzech studiowanie również wiąże się z kosztami, na których pokrycie nie każdego stać. Zwłaszcza że od 2008 r. studia będą tam płatne. Co do warunków studiowania (nie chcę tu uogólniać, mogę tylko mówić o uczelni naszych gości), to należy przyznać, że jest z czego korzystać. Uczelnia ma trzy budynki, ogromną bibliotekę, a także ogród botaniczny oraz fontannę, o której usłyszałam tylko: „Very ugly”.

– Po „Dniach Węgierskich” uważasz, że powinny się u nas odbywać następne?

– Koniecznie! Jak już wspomniałam, to rewelacyjny sposób na przybliżenie studentom naszej uczelni krajów Europy, a przecież jesteśmy już w Unii Europejskiej, tworzymy wielką rodzinę. Warto więc poznać kulturę, tradycje i przede wszystkim samych młodych ludzi z innych krajów, by moc skonfrontować pojęcie o życiu w naszej ojczyźnie i w innym państwie. ■

Rozmawiał Szymon SZYMON:) Wróbel

Kraków od spodu

„Noc Muzeów” co roku przyciąga ogromne tłumy widzów. W tym roku muzea (25 różnych miejsc) odwiedziła rekordowa liczba – aż 150 tys. mieszkańców Krakowa i okolic!

Żal by było nie skorzystać z okazji...

Joanna Mysińska

Maj to wyjątkowy miesiąc z wielu powodów. Z jednego jednak szczególnie – po raz czwarty w Krakowie, jak zwykle w połowie miesiąca (tym razem 18.05.) odbywa się „Noc Muzeów”. To doskonała okazja dla tych wszystkich, którzy albo nie mają czasu, albo brakuje im funduszy (wstęp po okazaniu pamiątkowej monety, którą można nabyć za symboliczną złotówkę), by wybrać się poobcować z kulturą. Bo taka noc to nie tylko zwiedzanie tego, co normalnie znajduje się w ofercie danego muzeum, ale również dodatkowe atrakcje. I skoro taka okazja zdarza się tylko raz w roku, to nie wolno jej zaprzepaścić, idąc tego wieczoru na dyskotekę lub do kina.

Ponieważ jestem osobą interesującą się kulturą, nie wybaczyłabym sobie, gdybym się nie wybrała tego dnia przynajmniej do jednego z muzeów. Choć kolejki były odstrasżające, cierpliwie w nich stałam.

Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyłam, była wystawa „Wakacje w Polsce” w ramach II Festiwalu Plakatu Reklamowego, pokazana w Barbakanie. Tam też po godz. 20 odbywały się walki rycerskie. Następnie odwiedziłam oddział Muzeum Historycznego Miasta Krakowa – Celestat. W tej mieszczącej się na ul. Lubicz placówce obejrzałam wystawę na temat Bractwa Kurkowego. Członkowie tego towarzystwa odpowiadali na pytania zainteresowanych, a król kurkowy zdradzał legendy Bractwa.



W kamienicy Hipolitów zobaczyłam typowy dom mieszczański. Niestety, nie natrafiłam tam, tak jak rok wcześniej, na dziennikarzy robiących gościom zdjęcia na tle panoramy Krakowa. Następnie, przechodząc w okolicach pl. Matejki, zobaczyłam niespodziewanie (gdyż nie było tego w planach wieczoru) defiladę wojskową. Trwający dłuższą chwilę pokaz przyciągnął tłum zaskoczonych i rozentuzjasmowanych gapiów, podobnie jak koncert ukraińskiego zespołu folk-rockowego „Hajdamaky”, odbywający się w tym czasie na płycie Rynku Głównego.

W drodze powrotnej do domu wstąpiłam do Centrum Sztuki i Techniki Japońskiej „Manggha”, gdzie odbywała się

ceremonia parzenia herbaty oraz pokazy origami. Z wielką chęcią obejrzałam także wystawę zdjęć z Tokio i obserwowałam pięknie oświetlony Wawel oraz kościół na Skałce z tarasu nad Wisłą.

„Noc Muzeów” co roku przyciąga ogromne tłumy widzów. W tym roku muzea (25 różnych miejsc) odwiedziła rekordowa liczba – aż 150 tys. mieszkańców Krakowa i okolic! Najwięcej osób było w Muzeum Narodowym oraz Muzeum Historycznym m. Krakowa. Nasza uczelnia również wzięła udział w tej niesamowitej nocy – w tym roku, w gmachu przy ul. Kanoniczej 9, przygotowała wystawę „Życie we fraszkach, fraszki w życiu” poświęconą twórczości Jana Izzydora Sztaudyngera. ■

Współczesny twórca, dokonując przekładu tekstu minionej epoki, w zasadzie powinien go opatrzyć własnym nazwiskiem...

Dramat, czyli poezja z importu

Iga Bałos

Przed wszystkim w y t c h n i e n i e. Czas na oddech w rzeczywistości zdominowanej przez krótką i bezpośrednią informację. Czy można nie kochać poezji? Nie bez powodu tym właśnie słowem określa się także idealną formę, czyli coś wyjątkowego. Największy komplement dla artysty piszącego wiersze to nazwać go poetą. Chęć poznania dorobku literackiego twórców zagranicznych dokonała zamachu na piękno ich utworów. Zostało ono uzależnione od jednej osoby. Tłumacza.

Jest to mało wyszukany truizm, ale poezja to nie słowa; poezja to emocje. Naprawdę łatwo mechanicznie przetłumaczyć każde słowo, jednak przekład istoty wiersza wymaga artyzmu. Okres historyczny, w którym powstał utwór, ma duży wpływ na sposób wyrażania myśli przez poetę, ale przede wszystkim decyduje on o unikalności języka.

Przekład tekstu minionej epoki

Nie rozumiem, dlaczego Wisława Szymborska tłumaczy wiersze Charles'a Baudelaire'a sprzed ponad stu lat. Współczesny twórca, dokonując przekładu tekstu minionej epoki, w zasadzie powinien go opatrzyć własnym nazwiskiem. Z oryginalnego wiersza nie pozostaje bowiem nic oprócz tematyki, co w przypadku poezji ma znaczenie drugorzędne. Dawne słowa i wyrażenia zastępuje się dzisiejszymi, składnia zdania, podwójnie obca ze względu na różnice w gramatyce i przestrzeń dziejową, często jest dostosowywana do współczesnego sposobu pisania. Żaloszny efekt daje wybiórcze stosowanie archaizmów, co nadaje całości charakter groteskowy.

Istnieje jednak sposób, żeby dotrzeć do pięknej poezji. Wystarczy się zapoznać z tłumaczeniem, które powstało za życia autora lub niedługo po śmierci. Wiersze Jeana-Arthura Rimbauda świetnie tłumaczył Zenon Przesmycki-Miriam, starszy jedynie od Francuza

o sześć lat. O wiele gorzej robił to Adam Ważyk, którego twórczość rozwijała się w XX wieku, a nie XIX.

Przykładowy przekład autorstwa Przesmyckiego „*miesiące całe z falą, równą histerycznym oborom, szturmowałem ku raf skalnym ścianom*” nie zawiera sztucznych tworów leksykalnych, jakie dostrzega się u Ważyka: „*miesiącani o rafy waliłem w krowiarni sztormów rozdygotanych rykiem histerycznym*”. Słowo *krowiarnia*, będące ewidentną kalką językową, raczej nie przyczynia się do upiększenia tekstu...

Pozbawić dramat polotu i dowcipu

Dramat stawia tłumaczom nie mniejsze wyzwanie niż poezja. Bardzo łatwo pozbawia się utwór polotu i dowcipu. Stanisław Barańczak, który dokonuje rzeczywiście pięknych przekładów, z jednej z moich ulubionych sztuk, „*Snu nocy letniej*”, robi miejscami nudnawe czytadło. Nie on jeden zresztą...

Szekspir opisuje zaloty chłopaka do urodziwej dziewczyny. Korzystając z okazji – zgubili się w ciemnym lesie, a zbliża się noc – prosi, żeby pozwoliła mu z nią spać. Na jednym mchu. Ona odmawia. Mężczyzna wciąż próbuje nakłonić ją do tego pomysłu, używając różnych sposobów. Przebiegłego amanta obydwaj tłumacze kreują jako postać na wskroś romantyczną i dość żaloszną. Można by wręcz antycypować, że byłoby wyjątkowo nudno na tym mchu.

Interpretacja Barańczaka „*wspólny los, który wspomniałem poprzednio, znaczy, że serce dwa zrosły się w jedno, a chociaż ciał jest dwoje, ślubowanie jedną wierności kołdrę kładzie na nie*” nie ma wiele wspólnego z oryginałem. Bliższe prawdzie tłumaczenie proponuje Maciej Słomczyński: „*rzekłem, że zrosło się z moim sercem twoje i jedno mamy dziś serce oboje. Dwie dusze łączy też jedna przysięga, żyje w nich szczerść, fałsz ich nie dosięga. Więc nie broń, Hermio, przy twojej osobie usnąć. Nie skłanię ni tobie, ni sobie*”.

Tłumacz pozbawiony kompleksów

W wypadku przekładu dramatu pojawia się dodatkowa kwestia: to przecież utwór przeznaczony do wystawienia na scenie. Słomczyński proponuje tekst zdecydowanie łatwiejszy do uczenia się na pamięć. Napisany komunikatywnym językiem, jest często preferowany przez realizatorów spektakli. Barańczak, który nie potrafi oddać humoru sytuacyjnego, oferuje za to piękną polszczyznę. To małe arcydzieła, które czyta się powoli i uważnie, rozkoszując się każdym słowem. Wyrazy mają określoną funkcję, wszystkie są ważne. Pominięcie choćby jednego byłoby ogromną stratą. Wystarczy porównać zdanie Barańczaka „*prawdziwa miłość nie zna gładkiej drogi*” i zbyt dosłowny przekład Słomczyńskiego „*miłość prawdziwa nie biegnie bitym gościńcem*”.

Dobry tłumacz to tłumacz pozbawiony kompleksów. Rozumie, że czytelnik ma otrzymać tekst kongenialny, to znaczy prawie taki sam jak w oryginale, tylko napisany w innym języku. Jeśli jednak literacki pośrednik jest twórcą niespełnionym i szuka okazji do zaprezentowania własnych możliwości, efekty jego pracy mogą być opłakane. Próbuje wtedy przerosnąć mistrza, psując pierwotny, czyli jedyny właściwy, zamysł artysty.

Bardzo żałuję, że nie znam wszystkich języków świata, bo czytanie poezji w oryginale pozwala na odnajdywanie tego, co JA uważam za najbardziej wartościowe. Przekład to forma interpretacji. Z komedii robi się może nie tragedię, ale coś na pewno tragicznego, a poezję udziwnia się banalnymi rymami. Wielcy ludzie literatury byliby wściekli, gdyby trafił do ich rąk (u?)twór, którego nigdy by nie podpisali własnym nazwiskiem. Zapewne wystosowaliby list pełen ekspresji i wyszukanych epitetów. Może doczekałby się nawet przekładu. Oczywiście z pominięciem „nieistotnych” uwag pod adresem tłumaczy. ■

Wykorzystano fragmenty utworów:

J. A. Rimbaud, *Statek pijany* w przekładzie Z. Przesmyckiego-Miriam oraz Adama Ważyka
W. Szekspir, *Sen nocy letniej* w przekładzie Stanisława Barańczaka oraz Macieja Słomczyńskiego

Zadziwiające jest to, że wśród narodu japońskiego istnieje tak wielu miłośników polskiego folkloru. Doświadczyły tego „Słowianki”...

Życie po japońsku – mentalność „*amae*”

Michał Krzywda

Prawie setny wyjazd zagraniczny Zespołu Pieśni i Tańca Uniwersytetu Jagiellońskiego „Słowianki” za nimi. 23 pełnospektaklowych koncertów, 12 tys. km, występ na 12. piętrze wieżowca. Wszystko po to, by promować polską kulturę, a jednocześnie poznać kulturę Kraju Kwitnącej Wiśni.

Na Japonię trzeba spojrzeć z zachowaniem pewnego dystansu. To kraj bardzo dynamiczny, który żyje w przyspieszonym tempie. Należy więc stanąć z boku i spojrzeć na to wszystko jak gdyby w zwolnionym tempie. Japonia to bowiem kraj pełen tajemnic, do których nie każdy ma dostęp.

Podczas pięciodniowego tournée „Słowianki” wystąpiły na japońskich scenach 23 razy z dwugodzinnym programem, do czego należy dodać pięć krótszych występów oraz dziesięć seminariów artystycznych, podczas których uczono japońskich miłośników folkloru polskich tańców narodowych oraz regionalnych. Grupa 39 wykonawców oraz choreograf i główny instruktor tańca Barbara de Lehenstein-Bronka przemierzali 12 tys. km po to, żeby zaprezentować polską kulturę, a także podziwiać japońskie zwyczaje oraz sztukę.

W bogatym repertuarze zespołu znalazły się przyspiewki rzeszowskie, polki podkrakowskie, tańce lubelskie, biłgorajskie, krakowiaków wschodnich, przeworskie, rzeszowskie, pieśni i tańce kurpiowskie, pieśni i tańce górali szczawnickich, pieśni i tańce śląskie, mazur, oberek z kujawiakiem, po-

lonez, pieśni „Czerwone jagody” oraz „Hej, mój Jasinek” oraz w wykonaniu kapeli polki sądeckie, polki proszowickie i na zakończenie każdego koncertu żywiołowo zatańczony, zaśpiewany i zagrany krakowiak. Organizatorem tournée i całego przedsięwzięcia był Folklore Report z Tokio oraz prezydent tej organizacji Tetsuo Masunaga, który pokrył wszystkie koszty związane z przelotem zespołu oraz z jego pobytem w Japonii.

Znaki *kanji* i makaron *udon*

Wielką magią jest japońskie pismo, a w zasadzie ich trzy rodzaje: *kanji*, czyli chińskie ideogramy reprezentujące pojęcia, a nie głoski, oraz *hiragana* i *katagana*, które mają wyłącznie wartość fonetyczną. W niektórych źródłach podaje się istnienie 48 tys. znaków *kanji*, jednak zwykle używa się tylko 5-10 tys. Każdy uczeń japońskiej szkoły podstawowej musi opanować około 900 znaków, absolwent obowiązkowej szkoły średniej prawie 1800, a szkoły wyższej nie mniej niż 3000. Wystarczy sobie wyobrazić, że jeden ideogram składa się czasem z 33 maźnięć pędzelkiem!

Japońskie kulinaria to istna egzotyka. Kostki sojowej galarety *tofu*, które zazwyczaj moczy się w łagodnym bulionie z wodorostami, wyglądają jak twarożek! Makaron *udon* jadłem tylko raz i chyba więcej się na niego nie skuszę, ale po *kare raisu* (ryż curry) chętnie kiedyś sięgnę. Naturalnie *sushi* i *sashimi* polecam obowiązkowo każdemu, kto odwiedzi kraj samurajów. ►



Na japońskim tatami

Przez pierwszy i ostatni tydzień naszego pobytu w Japonii mieszkaliśmy w miasteczku olimpijskim National Olympics Memorial Youth Center w Tokio, gdzie panowały warunki europejskie. Kolejne trzy tygodnie tournée odbyły się według ściśle określonego planu, jednak jak się później okazało, trzeba go było nieco poprawić. Podczas całego pobytu w Japonii każdy z nas mógł się przekonać, jak bardzo różnimy się od japońskiej ludności i jak bardzo trudno nam, Europejczykom, przyzwyczaić się do wszystkich etykiet i instrukcji.

Miejsca noclegowe „Słowianek” były bardzo zróżnicowane (hotele, ale i schroniska górskie dla dzieci, w których na wejściu dostaje się instrukcję, jak należy postępować w danym obiekcie łącznie z instrukcją składania pościeli). Zespół dwukrotnie spał również u japońskich rodzin, gdzie spotkaliśmy się z niesamowitą gościnnnością. Większość domów urządzona była bardzo podobnie: kuchnia i pokój dzienny na modłę europejską i tradycyjna sypialnia – od sześciu do ośmiu *tatami* (to tradycyjna mata o rozmiarze 1,86 cm na 93 cm, ani centymetra więcej, ani mniej). Japończycy na dzień zwijają swe legowiska, wkładają je do specjalnych szaf-wnęć, a następnie rozstawiają niziutki stolik w otoczeniu poduszek.

Mistycyzm w o-furo

Warto poświęcić kilka słów japońskiej higienie. Temat toalet oraz japońskich łaźni bardzo często przewija się w rozmowach osób, które powróciły z Kraju Kwitnącej Wiśni. Japończycy nie słysząc dbają o czystość osobistą, lecz mimo to, a może właśnie dlatego brzydzą się kąpielą w wannie pełnej piany. Nim zanurzą się w takiej wannie, uprzednio starannie szorują się pod kranem, siadając na małej plastikowej miseczce, a następnie dokładnie splukują mydło, polewając się wodą z miseczki. Dopiero potem zanurzają się w wannie lub w *o-furo*¹. Pełny mistycyzm... taka kąpiel oczyszcza podobno zarówno ciało, jak i umysł, stanowi wspólny odpoczynek, terapię, rozrywkę.

Podczas naszych kąpieli w licznych łaźniach zawsze przebywało kilkanaście osób zanurzonych w wodzie po szyję. Można wówczas było podyskutować o wielu kwestiach zarówno tych poważnych, jak i blahych, śmiesznych. W nie-

których przypadkach taka kąpiel trwała czasem kilka godzin – niestety, nie w naszym z powodu braku czasu delektowania się japońskim zwyczajem. Takie wygrzewanie wiąże się zapewne z brakiem ogrzewania w Japonii (wylącanego na noc), gdzie po powrocie do sypialni organizm ma więcej ciepła po kąpieli w *o-furo* dochodzącej do 50 lub 60 st. Celsjusza.

Chwile wzruszeń na japońskim szlaku

W ciągu pięciu tygodni „Słowianki” gościły na trzech z czterech japońskich wysp: Honsiu, Sikoku oraz Kiusiu (niektórzy żartują, że północna wyspa Hokkaido była wówczas zarezerwowana tylko dla narciarzy uczestniczących w mistrzostwach świata w skokach narciarskich). Zespół przebywał w około 30 miastach, większe z nich to: Tokio, Osaka, Fukuoka, Kioto, Sendai, Hirosima, Kochi. We wszystkich miejscach byliśmy przyjmowani bardzo entuzjastycznie, niektóre z nich dostarczyły nam wielu wzruszeń jak chociażby szkoła podstawowa Kozaikai-Nishi nieopodal Tokio, gdzie około dwóch tysięcy dzieci wprowadziło nas w stan osłupienia i niesamowitego wzruszenia.

Na wielkiej sali gimnastycznej byliśmy potraktowani z największym szacunkiem. Nie wymagaliśmy tego, a jednak wszyscy siedząc w jednym rzędzie na krzesłach, czuliśmy ciepło bijące od dzieci, które śpiewały „Szła dziewczynka do laseczka” w języku polskim, a następnie pieśń o pokoju w języku japońskim. Siedząc tam i trzymając aparat w dłoni nakerciłem tylko parę sekund tego wydarzenia i zrobiłem jedno zdjęcie, gdyż wołałem utrwalić ten moment w moich myślach i chciałem, aby ta chwila trwała we mnie jak najdłużej. Gdybym tylko mógł uściskać wszystkie znajdujące się tam japońskie dzieci, z pewnością bym to zrobił.

Właśnie dziecko jest w stanie przenieść nas w tajemniczy świat, gdzie pewne rzeczy wydają się proste, bo takimi właśnie powinny być. Zapamiętam datę wizyty w tej szkole i zapamiętam ten dzień, 13 lutego 2007 r. Może wydawać się to zabawne, ale w dzieciach jest jakaś siła i moc, przy której stajemy się bardzo mali. Jestem przekonany, że ten moment był w stanie wynagrodzić wszystkie gorsze dni podczas naszej wizyty w Japonii.

Drugim wzruszającym momentem okazała się wizyta w Muzeum Pokoju w Hiroszimie. Nie trzeba nikomu przypomi-

nać wydarzeń, które rozegrały się 6 sierpnia 1945 r. Od jednego wybuchu w jednej sekundzie zginęło ponad 78 tys. mieszkańców. Szczególne wrażenie robi umieszczony na wystawie zegarek zatrzymany na godzinie 8:16:02 w momencie wybuchu pierwszej w historii świata bomby atomowej.

Hamburger w scenerii Kioto

Oczywiście podczas naszego tournée nie mogło zabraknąć wizyt w japońskich świątyniach oraz zamkach, które to zamki są do siebie bardzo podobne. Zapewne największą, a zarazem najkrótszą z nich i najbardziej cenną wizytą była ta w Kioto i w imponującej 1000-letniej świątyni Kiyomizu. To wyjątkowa abstrakcja w mieście, w którym znajduje się dwanaście kompleksów świątyni oraz liczne muzea. Dodatkową „atrakcją” było zjedzenie wśród urokliwych uliczek Kioto „wspólnego” obiadu w postaci hamburgera i frytek z Mc Donalda... Można sobie tylko wyobrazić grupę czterdziestu osób siedzących na murkach i jedzących hamburgery oraz frytki, popijając coca-cola.

„Słowianki” prezentowały się w różnych miejscach, przykładem może być wieżowiec, gdzie zespół wystąpił na dwunastym piętrze. Dla odmiany kilka dni później dał program kilka pięter pod ziemią... Japońskie widowiska liczyły od 300 do 2 tys. miejsc, w większości miast widowiska były wypełnione po brzegi, a publiczność zbierała się już godzinę przed koncertami.

Osobiście byłem bardzo zaskoczony fascynacją japońskiego widza polskim folklorem. Warte podkreślenia jest również to, iż japoński widz nie ogranicza się jedynie do biernej postawy objawiającej się w oglądaniu spektakli, ale również chce brać czynny udział poprzez uczęszczanie na seminaria, gdzie zapoznaje się z elementami poszczególnych tańców oraz techniką ich wykonania.

W niektórych przypadkach oczekiwania widza przekraczały nasze możliwości oraz warunki zawarte w umowie. Imponował poziom taneczny grup seminaryjnych, których średnia wieku wynosiła około... 60 lat. W seminariach uczestniczyła zróżnicowana liczba osób, jednak w większości były to grupy około stuosobowe, które z wielkim skupieniem słuchały uwag głównego instruktora tańca i choreografa Barbary de Lehenstein-Brońki. Barbara-san – bo tak została nazwana pani in-



fot. Konrad Kosecki

struktor – podolała trudom edukacyjnym w Kraju Wschodzącego Słońca. Seminarium odbywały się przy akompaniamencie Wiesława Dziedzińskiego oraz przy utworach z płyty „Słowianek”, która została nagrana w październiku 2006 r. w związku wyjazdem na *tournee* do Japonii.

W dłoni z drewnianym młotem

Zespół również kilkakrotnie uczestniczył w tzw. *Welcome party*, gdzie oprócz poczęstunku prezentowano japońskie tradycje, takie jak: obrzęd parzenia herbaty (trwa około godziny), sztuka kaligrafii bądź przygotowywanie świątecznego przysmaku *o-mochi*, mającego konsystencję plasteliny. Zajęcie przygotowywania *o-mochi* to niełatwe wyzwanie. Najpierw należy ugotować ryż. Jest to specjalny ryż (ma śnieżnobiały kolor), który gotuje się na parze w specjalnym naczyniu. Następnie ugotowany ryż przenosi się do drewnianego lub kamiennego naczynia. Kolejną czynnością jest długie i mocne ubijanie ryżu przy pomocy wielkiego drewnianego młota tak, aż zrobi się z niego jednolita masa. Myliłby się ten, kto by uważał, że to lekka praca – ciężar młota to około 10 kg. Co jakiś czas ciasto należy odwrócić i połać

odrobiną wody. Samo ubijanie trwa około 20 minut. Z gotowego ciasta lepi się ciasteczka, które następnie umieszcza na półmisek. W jednym z nich znajdowała się czerwona fasola przyrządzona na słodko, w drugim przecier z rzepy, a w trzecim posypka – prawdopodobnie również z fasoli.

Sztuka konformizmu

Organizatorom naszego *tournee* i ich współpracownikom należą się słowa uznania za profesjonalne przygotowanie koncertów i związane z tym aspekty techniczne. W pełni fachowa ekipa zajmująca się światłem oraz dźwiękiem podczas koncertów stała na najwyższym poziomie. Dzięki temu zespół mógł się godnie i w sposób jak najlepszy zaprezentować japońskiej publiczności.

Na organizatorze oraz jego współpracownikach spoczywało również dotrzymanie warunków umowy zawartej z kierownikiem „Słowianek” Henrykiem Wolffem-Zdzienickim, co nie zawsze, niestety, było realizowane przez stronę japońską. Kilkakrotnie zespół musiał sam interweniować w pewnych kwestiach.

Jak pisze pani Janina Rubach-Kuczevska w książce „Życie po japońsku”: „we wszystkich dziedzinach życia domi-

nuje tu mentalność „*amae*”, stanowiąca istotę psychiki japońskiej. Jest ona wykładnią powiązań, zależności grupy od zwierzchnika i zwierzchnika od zespołu. Otóż Japończyk przez całe życie – zgodnie z teorią „*amae*” – jak dziecko łaknie uczucia, oczekuje i żąda wyrozumiałości, uważając, że mu się ona należy, że winy i błędy winny być mu wybaczone”.

Wydaje się, że w każdym społeczeństwie nie brakuje ludzi mniej lub bardziej szlachetnych, gorszych i lepszych. Profesor Chie Nakane napisał w jednej z książek: „Jest taki gatunek ryb, które nie mają kręgosłupa, ich kształt zależy od zewnętrznego otoczenia, bo galareta łatwo się ugina, a gdy zmniejszyć nacisk, znów nabiera pierwotnego kształtu. Właśnie tacy są Japończycy”.

¹ O-furo – to tradycyjna japońska łaźnia, będąca integralną częścią życia Japończyków. W przeszłości odbywano specjalne rytuały kąpiących się wspólnie sąsiadów. Japońskie łaźnie oznaczają coś więcej niż tylko czynność higieniczną. Są silnym elementem kultury a nawet wierzeń.



Longa est vita, si plena est

Pograżeni w głębokim żalu ze smutkiem
zawiadamy, że 5 maja 2007 roku zmarł

Ś.p.

**Prof. zw. dr hab. Andrzej
KAPISZEWSKI**

wybitny uczony, organizator szkolnictwa wyższego i dyplomata.
Współtwórca i pierwszy Rektor
Krakowskiej Szkoły Wyższej im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego.
Prezes Krakowskiego Towarzystwa Edukacyjnego.

Prof. zw. dr hab. Andrzej Kapiszewski był absolwentem Liceum im. Jana III Sobieskiego w Krakowie, ukończył matematykę w Uniwersytecie Jagiellońskim (1966-1971). Studia podyplomowe i staż naukowy w zakresie socjologii odbył w Columbia University (New York, 1974-1975).

W latach studenckich z ogromnym zaangażowaniem przewodniczył Radzie Uczelnianej ZSP i Kołu PTTK UJ, działał także w Studenckim Kole Przewodników Górskich. Pracę zawodową rozpoczął w 1971 r. w Uniwersytecie Jagiellońskim, gdzie był współinicjatorem ważnych placówek dydaktycznych oraz naukowo-badawczych: Szkoły Letniej Kultury i Języka Polskiego, Instytutu Badań Polonijnych, Katedry Bliskiego i Dalekiego Wschodu, Instytutu Konfucjusza. W Krakowskiej Szkole Wyższej im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego podejmował wiele cennych inicjatyw na rzecz rozwoju naszej Uczelni. Opracował koncepcje nowych oryginalnych kierunków studiów i specjalności. Był organizatorem i redaktorem naczelnym „Krakowskich Studiów Międzynarodowych”. Pomysłodawcą i współtwórcą programu kulturalnego, artystycznego i turystycznego Uczelni. Dzięki Niemu powstały: galerie, biuro podróży, Kolegium Europejskie. Swoją odwagą i zapałem inspirował do podejmowania niekonwencjonalnych działań.

Przez lata prowadził badania naukowe, wykladał m.in. w: University of Wisconsin-Milwaukee (USA 1980), Stanford University i the Hoover Institute on War, Revolution and Peace (USA 1989-1990), NATO Defence College (Rzym), Akademii Dyplomatycznej MSZ w Warszawie i The Emirates Center for Strategic Studies (Abu Dhabi).

Autor wielokrotnie nagradzanych książek oraz licznych artykułów, publikowanych w: Polsce, Wielkiej Brytanii, Francji, USA, Egipcie, Arabii Saudyjskiej, Libanie oraz Zjednoczonych Emiratach Arabskich.

Po rozpoczęciu transformacji systemowej, chargé d'affaires a.i. w ambasadzie RP w Abu Zabi (1991-1995) a następnie organizator oraz pierwszy polski ambasador w Zjednoczonych Emiratach Arabskich i w Katarze (1995-1997).

Ekspert ONZ do spraw migracji na Bliskim Wschodzie. Prezydent Lions Club - Kraków - Stare Miasto. Członek m.in. Komitetu Badań Orientalistycznych PAN, Polskiego Towarzystwa Socjologicznego, Stowarzyszenia „Willa Decjusza”.

Ceniony i niezwykle lubiany przez młodzież Nauczyciel Akademicki, Wychowawca i Promotor wielu młodych pracowników nauki.

Laureat programu „Misirz” Fundacji na rzecz Nauki Polskiej.

Odnznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Niech spoczywa w pokoju!

Nabożeństwo żałobne zostanie odprawione w czwartek 10 maja 2007 roku o godz. 9.00 w kaplicy na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie, po czym nastąpi odprowadzenie Zmarłego na miejsce wiecznego spoczynku.

Rektor i Kanclerz,
Senat oraz cała Społeczność Akademicka
Krakowskiej Szkoły Wyższej im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego
w Krakowie